



FRONDA

Striptiz
NAD-
-redaktora

z Marcinem Wolskim

rozmawia

Ryszard Makowski

Striptiz
NAD-
-redaktora



W serii „Lustra” ukazały się dotychczas:

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI

Chodzi mi tylko o prawdę

BRONISŁAW WILDSTEIN

Niepokorny

CEZARY GMYZ

Zawód: dziennikarz śledczy

DARIUSZ LORANTY

**Spowiedź psa. Brutalna prawda o polskiej
policji**

MARCIN WOLSKI, RYSZARD MAKOWSKI

Striptiz Nadredaktora

Striptiz
NAD-
-redaktora

z Marcinem Wolskim

rozmawia

Ryszard Makowski

FRONDA

Okładka
Anna Kierzkowska

Zdjęcia Marcina Wolskiego na okładce i na skrzydełku
www.silaobrazu.pl

Wszystkie fotografie wewnątrz książki pochodzą z archiwum
Marcina Wolskiego

Redaktor prowadzący
Bartłomiej Zborski

Redakcja
Ewa Popielarz

Korekta
Katarzyna Szol

Skład i łamanie
TEKST Projekt, Łódź

Copyright © by Ryszard Makowski and Marcin Wolski
Copyright © by Fronda PL, Sp. z o.o. Warszawa 2015. All rights reserved.

ISBN 978-83-64095-69-6

Wydawca
Fronda PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

Spis treści

| | |
|--|-----|
| Prolog..... | 7 |
| 1. Wolski zeznaje..... | 9 |
| 2. Jak to dobrze, że mnie pan ośmieszył | 53 |
| 3. Wywiad do tygodnika „Super Życie na Gorąco” | 85 |
| 4. „Sześćdziesiątka” na Krakowskim Przedmieściu..... | 109 |
| 5. Nurkowanie na „Różycu” | 137 |
| 6. Osoby, na których życie wpłynąłem | 173 |
| 7. Historie rodzinne | 191 |
| 8. Wieczór autorski w klubie „Ronina”. O historii, Kościele, teoriach spiskowych i czymś jeszcze..... | 217 |
| 9. Ulubione lektury Nadredaktora | 261 |
| 10. Powróżyc Cygance | 279 |
| 11. Rozmowa warsztatowa | 289 |

Prolog

Rozmowa z Marcinem Wolskim była czystą przyjemnością. Być może ktoś by lepiej potrafił oddać głębię tego wybitnego umysłu. Może potrafiłby plastyczniej słowem sportretować jednego z największych erudytów epoki. Ale cieszę się, że ten zaszczyt przypadł właśnie mnie.

Zrobiłem, co mogłem, żeby przybliżyć współczesnym i potomnym tytana intelektu – jednego z tych, których w naszych dziejach nie było aż tak wielu. A obdarzonych do tego wyrafinowanym poczuciem humoru... to chyba tylko Marcin Wolski.

Jesień 2014

Wolski zeznaje

Rządząca od wielu, wielu lat w Polsce Partia Miłości w trosce o porządek publiczny wprowadza 13 grudnia stan wyjątkowy. Protesty po ewidentnie poprawionych wyborach nabrały takiego animuszu, że trzeba było zdusić rokosz w zarodku. Nocą z 12 na 13 zostają aresztowani zawodowi mąciciele, od lat podważający jedynie słuszną linię rządzącej partii, a co więcej – ośmielający się naigrawać z najwyższych władz na coraz tłumniejszych nielegalnych zgromadzeniach. Marcin Wolski trafia na Rakowiecką. 14 grudnia po kolacji klawisz doprowadza go do pokoju przesłuchań, gdzie oficer w sile wieku, może kilka lat młodszy od Wolskiego, z obowiązku, ale chyba bardziej z ciekawości bierze się do wykonywania rutynowej roboty. Dzisiaj jest jednak wyjątkowo podekscytowany. Zetknięcie się z jednym z najwybitniejszych twórców epoki wywołuje w nim dreszczyk emocji.

– No i co, Wolski, doigraliście się!

Milczenie.

– Przecież macie umysł analityczny i wiedzę jak mało kto, nie przewidzieliście, że to się tak skończy?

Milczenie.

– Taaa... Na co wy liczyliście? No na co? Że my władzę wam oddamy? Że my pewnego dnia rozplączemy się, wyznamy winy... domniemane winy... smoleńskie i inne... te wymyślane przez naiwniaków pseudopatriotów? – Przy słowach „naiwniaków pseudopatriotów” wygiął wargi w grymasie mieszczącym się gdzieś pomiędzy ironią a pogardą. Zamilkł, postukał chwilę palcami o blat biurka. – A więc nie macie zamiaru odpowiadać? Taaaa, wyższość moralna was roznosi.

– Czekam na złego policjanta – nieoczekiwanie Wolski podjął dialog.

– Tu nie ma złych policjantów. Tu są sami dobrzy – zakaszłał się czy zaśmiał były ubek. – Pan posłucha, panie Marcinie – wyraźnie zmienił ton. – My wszystko o was wiemy, jest elektronika, nawet drona wielkości muchy możemy wysłać na drugą półkulę, wszystko wiemy. Nie musi pan nikogo kępować, na nikogo nadawać...

Milczenie.

– Wyznam panu coś. Jutro idę na emeryturę, to jest moje ostatnie przesłuchanie.

– I co, liczy pan pewnie na partnerską rozmowę kulturalnych ludzi o odmiennych poglądach.

– Pan jest jednak przenikliwy – znowu się zakaszłał, choć mógł być to śmiech. – Po prostu nigdy nie mogłem zrozumieć... – zadumał się – ...co takimi jak wy kieruje? O co wam chodzi? Mając taki talent, możecie wygodnie żyć, mieliście dobrą posadę w radiu, w telewizji, w partii byliście, świetlana przyszłość i co... Idziecie krętymi drogami, a potem my je musimy prostować.

– Czyli spotkałem wreszcie mojego dobroczyńcę.

– Aż tak to nie. Powiedzcie, co was pchnęło do takiej rzeczy... Pisać wredny wiersz po Smoleńsku... Tuwima parodiować i sugerować, że Lech Kaczyński też został zamordowany jak Narutowicz.

– Posłużyłem się Tuwimem jako wzorem do pastiszu, może z braku talentu...

– Nie bądźcie tacy skromni, tu nie musicie.

– Nie byłem w stanie napisać na zupełnie surowym, oryginalnym patencie. To był szok, psychiczne rozbicie. Wiersze poważne piszę bardzo rzadko. Potrzebowałem gotowego schematu, a *Pogrzeb prezydenta Narutowicza* pasował idealnie swym przesłaniem.

– Jak to – rzadko wiersze piszecie? Przecież napisaliście ich tysiące.

– Tysiące to napisałem wierszyków, a wierszy stworzyłem co najwyżej kilkanaście. Powstają one wtedy, kiedy coś mnie dogłębnie porusza. Ten wiersz nie był spowodowany samą katastrofą, o której wtedy niewiele wiedziałem. Był spowodowany reakcją niektórych ludzi mediów na tę tragedię. Dlatego zatytułowałem go *Mediom*. Osoby dotąd będące niechętnie prezydentowi Kaczyńskiemu, a wręcz odgrywające znaczącą rolę w odrażającym procederze niszczenia autorytetu głowy państwa, w przemyśle pogardy, nagle stały się ostentacyjnymi płaczkami.

– Nie możecie osądzać tak bezwzględnie.

– A oni mogli być bezwzględni dla demokratycznie wybranego prezydenta. Pozwalali sobie na prostacki brak szacunku. Poniewierali nim, ośmieszali przy byle okazji, co więcej – tworzyli fakty medialne, by odebrać mu godność urzędującej głowy państwa. I nagle pojawili się na wizji, zapłakani, w czerni, w głębokiej żałobie. To jest wiersz skierowany przeciwko ich hipokryzji. Oni wiedzieli, że napisałem prawdę. Dlatego tak ich zabolalo i reakcje były wyjątkowo ostre.

– Czyli nie żałujecie tego czynu?

– Dzięki temu wierszowi przeżyłem coś, co się rzadko zdarza przeżyć autorowi. Kiedy stałem w kolejce na Krakowskim Przedmieściu, żeby oddać hołd wystawionym trumnom pary prezydenckiej, przychodzili ludzie z „Gazetą Polską”, w której został wydrukowany, albo mieli przepisany na jakichś bibułkach i prosili, żebym im to podpisał.

– To chyba dla was nie nowość, parę autografów w życiu daliście.

– Tu nie chodziło tylko o mój podpis, to był solidarny akt wspólnoty wobec hekatomb, która dotknęła naród. To było

takie nieme porozumienie w chwili niewyobrażalnego bólu. I czułem tę wdzięczność, że dałem tym ludziom coś, co choć odrobinę zmniejszało ich cierpienie.

– Przyznajcie się. Chcieliście podburzyć ten moherowy tłum przeciwko legalnym władzom i legalnym mediom.

– Nikogo nie podburzałem. Podburzanie jest wówczas, gdy chce się ludzi sprowokować, by dokonywali czynów przestępczych albo wyszli na ulice.

– Od wyprowadzania ludzi na ulice to jesteśmy my.

– Tym razem ludzie sami wylegli, z żalu. W tym wierszu stawiam tylko pytania, na które sam nie znam odpowiedzi, i staram się ludzi skłonić do myślenia. Tak pojmuję powinność poety. Prawda jest taka, że gdyby nie jakiś impuls, który mnie pchnął w pierwszym momencie do pisania, to pewnie by ten utwór w tej postaci nie powstał. Jego siła płynie właśnie stąd, że autentycznie przekazuje to, co czuły miliony wpatrujące się w telewizory, by czegokolwiek się dowiedzieć o czymś, co się nie miało prawa wydarzyć.

– A wy co mi tu w ogóle? Zamach był przecież.

– Zawsze się kieruję zasadą Kartezjusza: „wątpię, więc myślę”, a dopiero potem: „myślę, więc jestem”. Niczego nie przyjmuję na wiarę, no, może poza wiarą w Boga, aczkolwiek ona też została wielokrotnie doświadczona i wielokrotnie przemyślana. Jeżeli mam splot zdarzeń, których nie da się wyjaśnić na zdrowy chłopski rozum, to żadna z wersji nie powinna być na wstępie odrzucona. Normalny polski wykształcony inteligent musi sobie zadawać pytania. Jeśli otrzymuje odpowiedzi wykrętne, niejasne, urągające zdrowemu rozsądkowi, jak choćby historia brzozy pancерnej, to budzi się w nim niepokój i poszukuje innych wariantów przyczynowo-skutkowych.

– Czego tu poszukiwać? Wszystkie kraje NATO, wszystkie kraje Unii Europejskiej zaaprobowaly wersję obwieszoną przez MAK. Nie możecie zrozumieć, że ta prawda, którą wam udostępniamy, nie podlega dyskusji?

– Właśnie nie mogę. Wszystkie kraje, no, poza Niemcami, z oczywistych względów, pogodziły się po wojnie z sowiecką wersją zbrodni katyńskiej.

– Ale to są odległe czasy.

– Mogę dać przykłady z jeszcze bardziej odległych epok, Nerona czy Kaliguli, akurat się na tym znam. Historia ma to do siebie, że wielokrotnie siła lub interesy potrafiły wymusić reakcje niezgodne z faktami lub z tym, co dyktuje przyzwoitość czy honor.

– Wy się na tym znacie, ja się na tym znam i wiemy, że nie warto upierać się przy teoriach spiskowych.

– Nie upieram się, co więcej – przez długi czas miałem co najmniej ostrożne do nich podejście, ale z drugiej strony denerwuje mnie, że ktoś przedstawia jakąś wersję i mówi: macie w nią wierzyć. Argument, dajmy na to, że 80% mieszkańców danego miasta to ateści, więc trzeba zostać ateistą, do mnie nie trafia. Bardziej interesuje mnie, dlaczego 20% jeszcze nie zostało ateistami. Nawet w procesie kanonizacyjnym powołuje się adwokata diabła, czyli kogoś, kto stawia niewygodne pytania. W śledztwie smoleńskim najbardziej niewiarygodne i najbardziej podejrzane jest to, że takich pytań nie postawiono. Gdyby rzeczywiście to śledztwo prowadzono rzetelnie, nie ukrywano by tak wiele przed opinią publiczną i nie manipulowano by faktami. Poza tym, jak można zakończyć postępowanie bez wraku i czarnych skrzynek? Bzdura.

– Wszystko zostało dokładnie przebadane, jak wiecie.

– Mamy teraz taką sytuację, jak gdyby ktoś otruł żonę, a śledztwo powierzono teściowej, ku zadowoleniu męża dziedziczącego cały majątek.

– Większości społeczeństwa, jak widać, ta sytuacja odpowiada albo niewiele ją obchodzi.

– Ale kategoria większości mnie nie odpowiada. Gdy zapytano Żydów zgromadzonych na placu przed Sanhedrynem, to większość uznała Chrystusa za winnego i skazała go na ukrzyżowanie. Takie rzeczy w historii są nagminne. W związku z tym element ilości, większości jest dla mnie nie do przyjęcia. Jeśli chodzi o Smoleńsk, ja nie wiem, jaka jest pełna prawda, i nie latam po mieście z nowiną, że jestem jej depozytariuszem. Gama zdarzeń jest bardzo szeroka: od zamachu do nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

– I ja mam w to uwierzyć? Jesteście przecież po tej stronie, która jest pewna, że to był zamach.

– Nie, ja po prostu jestem po tej stronie, która chce, żeby to było wyjaśnione. Jestem po tej stronie, która nie zgadza się ze zdaniem „ciszej nad tą trumną”. Co prawda ciszy nie było nigdy, bo byliśmy nawet świadkami rehotu z tragedii smoleńskiej.

– Wszystko zostało wyjaśnione. Posłuchajcie Laska, to fachowiec.

– Wolę posłuchać Suworowa, też fachowiec i w dodatku z GRU. On mi kiedyś powiedział w klubie „Ronina”, że żądanych dodatkowych danych nie ma, ale gdyby miał orzekać o winie, to główną przesłanką jest zachowanie Rosjan. W tej sprawie zachowują się, jakby byli winni w pięciuset procentach, a nie w stu.

– Nie bierzecie tego pod uwagę, że może właśnie chcieli pokazać światu, do czego są zdolni?

– Oczywiście, to jest prawdopodobne, mafia też przysłała skazańcowi rybę, a potem twierdzi, że to nie ona dokonała egzekucji.

– Chyba takie porównanie to... Mniejsza z tym, ale przyznajcie się, jesteście pewnie pod wrażeniem siły naszej propagandy. Wmówić ludziom, że samolot stracił skrzydło po uderzeniu o brzozę. Majstersztyk!

– Lepsze by było, jakby wmówili, że to była sekwoja.

– Nie rośnie w Europie.

– No właśnie, byłoby większe wyzwanie. Ludzie i tak wierzą, bo chcą wierzyć. Propaganda wytworzyła ciąg logiczny – jeżeli prawda jest taka, jak twierdzi Macierewicz, to tym bardziej nie możemy jej rozgłaszać, bo sprowokowany Putin jest nieobliczalny i doprowadzimy do jeszcze większego nieszczęścia. Trzymajcie się daleko od Kaczyńskiego i Macierewicza, bo oni poprowadzą naszą bezzębną armię na Moskwę i będą się działy rzeczy straszne. Cokolwiek by mówić, ludzi uspokaja narracja: no może coś się stało, ale już się stało i się nie odstanie.

– A jeśli to była prowokacja mająca wywołać odwet NATO i Polski, a w efekcie trzecią wojnę światową i tylko mądra polityka Tuska nas uratowała?

– Jakie jest NATO, każdy widzi. Problem leży głębiej. Obecnie jesteśmy świadkami działania „człowieka ponowoczesnego”. To jest człowiek, u którego rozmyły się pojęcia winy i kary, zbrodni i odpowiedzialności. Jeszcze sto lat temu Breivik zabijający kilkadziesiąt niewinnych osób byłby ćwiartowany, katowany, uśmiercany na osiemdziesiąt sposobów. Żeby ukarać zbrodniarza i odstraszyć ewentualnych naśladowców. W tej chwili taki ktoś dostaje kilkanaście lat czy ileś tam, niczym za oszustwa podatkowe.

– Dwadzieścia jeden lat z możliwością przedłużenia, jeśli się nie zresocjalizuje. Już ja bym go...

– A wiecie, dlaczego tak się dzieje?

– Spalancjały system karny, pieszczący się z byle czubkiem. U nas też tak kombinują.

– Głównym argumentem, by obchodzić się łagodnie z najgorszymi zwyrodnialcami, jest to, że ich ofiary już nie żyją i nikt im życia nie wróci. I ze Smoleńskiem jest podobnie. No fakt, tragedia, ale nikt im życia nie przywróci, a kłopoty mogą być. Zakłajstrujemy, przyjmijmy do wiadomości jakąś wersję, choćby najbardziej byle jaką, oby był spokój. To jest istota filozofii ponowoczesności. W ten sposób ekipa Tuska dorównała do standardów Zachodu. Weźmy podobny przypadek: zestrzelenie samolotu Malaysia Airlines. Na początku wrzało, światowe oburzenie – zamordowano prawie trzysta osób, w tym sporo dzieci. A potem sprawa ucichła i nie dzieje się nic, co mogłoby ugodzić w odpowiedzialnych za tę zbrodnię. Papuasi zrobiliby tak: wydzielcie nam taką samą liczbę obywateli, w tym odpowiedni procent dzieci, zgładzimy ich i będziemy kwita.

– Zapominacie, że my żyjemy w cywilizowanym świecie.

– To ja już wolę Nową Gwineę. Tam obowiązuje parytet dobra i zła. Zresztą mogliby przyjąć ekwiwalent w świniach, a nie w dzieciach i żonach, ale musi się dokonać adekwatne zadośćuczynienie.

– No nie, co wy mi tu opowiadacie. Holendrzy mieliby wziąć zadośćuczynienie w... Dajcie spokój.

– Ja należę do tamtej epoki, przednowoczesnej, i dlatego drażę temat katastrofy z 10 kwietnia 2010 roku. Zresztą sam jestem bardzo ciekaw, co tam się zdarzyło. Wszystkie osiągnięcia zespołu parlamentarnego Antoniego Macierewicza tak naprawdę udowodniły z całą pewnością jedno – że wydarzenia miały zupełnie inny przebieg niż zawarty w raporcie Anodiny i wtórującym mu raporcie Millera.

– Macierewicz przecież wie, że był zamach. Wybuchy, trotyl i takie tam.

– Antoni Macierewicz powiedział mi osobiście: „My nie wiemy, jaka jest prawda, analizujemy różne hipotezy”.

– Sensacja. Wszyscy uważają, że on wie.

– Wszyscy, którzy mu dokleją gębę. Gdyby wiedział na sto procent, jak było, to by to ogłosił i nie szukałby kolejnych dowodów. Tym się na korzyść różni Antoni Macierewicz od pana Laska.

– Zaraz, zaraz, czyli ktoś, kto nie wie, jest lepszy od tego, który wie?

– Taka jest właśnie różnica pomiędzy głąbem z ateńskiego rynku a Sokratesem. Wielkość polega często na stwierdzeniu: „Wiem, że nic nie wiem”. Niewiedza jest wtedy połączona z poszukiwaniem wiedzy. Wiedza pozorna to uspienie w samozadowoleniu.

– A widzicie, społeczeństwo woli tkwić uspięne w samozadowoleniu!

– I tak było od czasów arki Noego albo i wcześniej. Ludzie od początku świata są permanentnie ogłupiani. Jaka jest prawda, nie wiemy, ponieważ wersję zdarzeń narzucają ci, którzy spisują historię. Jest nawet taka frazka: „Historia bardzo często zapomina, czy Kain Abla, czy Abel Kaina”.

– To wasze?

– Nie, Sztadyngera. Nie w tym rzecz. Weźmy Ryszarda III. To mój ulubiony przykład. Był, jak na swoje czasy, całkiem sympatycznym władcą. Prawdopodobnie jego bratankowie umarli w Tower na skutek choroby. Nikt ich nie mordował.

Lord Hastings wcale nie został stracony bez wyroku tego samego dnia, kiedy go aresztowano, czego zabraniało prawo, tylko znacznie później i to po procesie. Ale trzeba było zrobić z Ryszarda III potwora po jego zamordowaniu podczas bitwy pod Bosworth, gdzie nie dostał w końcu konia, choć oferował za niego królestwo. Jego następcą Henryk VII Tudor miał bardzo wątpliwe uprawnienia do objęcia tronu, wywodzące się z nieprawego łoża. Głównym argumentem, że może zostać królem, miało być niebywałe okrucieństwo jego poprzedników, ze wskazaniem przede wszystkim na Ryszarda III. Bodajże John Morton przypisał więc temu ostatniemu wszystkie możliwe zbrodnie, a w wydanej później *Historii Ryszarda III* napisano nawet, że matka chodziła z nim dwa lata w ciąży, urodził się dużo większy niż przeciętne dziecko i od razu ze wszystkimi zębami.

– No, no.

– Podobnie tendencyjni są Tacyt i Swetoniusz. Do końca nie wiemy, czy Neron, Kaligula, Klaudiusz, a zwłaszcza Tyberiusz byli takimi potworami, jak zostali opisani w *Żywotach cesarów* czy *Kronikach*.

– Chcecie nam powiedzieć, że zostali ofiarami tabloidyżacji ówczesnych mediów.

– Tak mogło być. Kronikarze pisali na zamówienie tak zwanych dobrych cesarzy. Nerwa, Trajan i tak dalej. „Dobrzy cesarowie” byli chyba w większości homoseksualistami, a w każdym razie nie potrafili płodzić dzieci. Każdy kolejny był adoptowany jako pięćdziesięciolatek albo coś koło tego przez swojego poprzednika. I tak to funkcjonowało aż do znanego z filmu Ridleya Scotta *Gladiator* Kommodusa. Marek Aureliusz był filozofem i chyba niechcący spłodził syna, którym się okazał właśnie Kommodus. Narobił on jednak takiego „ziaziu”, że po „dobrych cesarzach” nawet ślad nie został. Co ciekawe, za tych wcześniejszych „oszalałych” cesarów Rzym się rozwijał. Poszerzał swoje granice, miał świetną aprowizację, znakomity system dróg. Czy byłoby to możliwe, gdyby rzeczywiście rządziły nim kreatury pozbawione jakiegokolwiek talentu i umiające jedynie wprowadzać konia do senatu?

– Nie pomyśleliście, że mogły funkcjonować wtedy na tyle dobre mechanizmy wytworzone przez lata, że nawet głupki przy władzy nie dawały rady tego zniszczyć?

– Społeczeństwo rzymskie było zhierarchizowane, flotę, armię trzymano w jednym ręku i była to ręka cezara. W naszych czasach Hitler był bestią, pozbawionym empatii potworem, ale równocześnie genialnym przywódcą, i robienie z niego idioty, tak jak z gestapowców w polskich filmach, jest przekłamaniami.

– Co wy wygadujecie? Hitler – geniusz?

– Potrafił zapanować nad Niemcami i potrafił zmusić ich do realizacji swoich pomysłów stworzenia Zjednoczonej Europy pod egidą Niemiec. I do pewnego czasu mu to wychodziło. Zawsze śmieszyło mnie to w filmach peerelowskich, a jeszcze bardziej radzieckich, że hitlerowców pokazywano jako bandę tchórzliwych idiotów. Jeżeli tak, to dlaczego doszli aż nad Wołgę? Dla mnie jako dla autora wróg musi być co najmniej tak dobry jak bohater. Tylko bohater z jakiegoś powodu powinien być odrobinę lepszy. Przede wszystkim przemawiają za nim racje moralne.

– Co wy mi tu z Hitlerem?

– Nie chodzi o Hitlera, tylko on jest dobrym przykładem manipulowania historią. Mało kto wie, że przez pewien czas Nerona w Grecji uważano za świętego. Przywrócił, przynajmniej formalnie, wolność państwom greckim podczas swojej słynnej wyprawy do Achai. Za to Henryk VIII, który okrucieństwem dorównywał Iwanowi Groźnemu, jest przedstawiany jako rubaszny władca, a jedynie wypomina mu się sprawy z żonami. Zresztą zabił tylko dwie na sześć, a jedna go prawdopodobnie otrula. Wraz z Anną Boleyn jego głównym celem było dorwanie się do skarbów Kościoła katolickiego. Podobnie jak Filip Piękny zniszczył templariuszy, by zawładnąć ich majątkiem. Niemniej na użytek protestantyzmu stworzono miły wizerunek Henryka VIII, reformatora i ojca narodu, chociaż był potworem nad potwory.

– Całej historii świata mi nie opowiadajcie. Lepiej mi powiedzcie, jak to jest możliwe, że nie mając konkretnej wiedzy,

konkretnych danych, napisaliście scenariusz o Smoleńsku, a potem jeszcze książkę?

– Czuję się autorem beletrystą, więc mogę pisać o czymś, o czym mam średnie pojęcie.

– W tym przypadku jednak jest to katastrofa, którą mimo wszystko interesuje się cały naród. Obchodzicie jej miesięcznice, chcecie prawdy, trudno chyba napisać o tym coś ot tak, spod dużego palca.

– Zaczniemy od danych. A mówię o danych w sensie procesowym. To znaczy, że siadamy i ja kładę na stół dowody, że to, że tamto, że owo. Takimi danymi nie dysponuję. Mam natomiast tysiące pytań, wątpliwości i hipotez. W takim sensie mogłem się włączyć w pisanie scenariusza filmu. Ten scenariusz był pracą zleconą. Zwrócił się do mnie Antoni Krauze z propozycją, czy nie pomógłbym mu w zrealizowaniu jego pomysłu. Zgodziłem się, pracowałem przy dwóch pierwszych wersjach, potem sprawę przejęli Tomasz Łysiak i Maciej Pawlicki. Natomiast moja książka jest powieścią akcji, która w jakiś sposób oczywiście mówi o Smoleńsku. Przede wszystkim przedstawia moje wyobrażenie, jak mogłoby ewentualnie wyglądać ostatnie dwadzieścia pięć godzin przed katastrofą.

– Czyli ten scenariusz i książka się różnią?

– Zdecydowanie. To są dwa oddzielne dzieła. W przypadku scenariusza jest to pomysł Antoniego, który na miarę swoich sił próbowałem rozwijać. Doprowadziłem go zresztą do pewnego etapu, a potem pracowało nad nim wiele innych osób. Dla mnie *de facto* efekt finalny jest nieznanym. Ja mówiłem o poszukiwaniu prawdy i o tym, co w ramach tego poszukiwania robi się z ludźmi. Co się dzieje z naszym społeczeństwem. Akurat na ten temat mam bardzo dużo informacji. Być może nie wiemy, jak wyglądała sprawa trotylu w samolocie, ale wiemy, jak wyglądała sprawa krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak wyglądały rozmowy Tuska z Putinem, ale jestem w stanie powiedzieć, jak prorządowe media pokazywały „moherowy obóz Smoleński”.

– O zachowaniu ludzi po katastrofie, o zachowaniu mediów po katastrofie dokument nakręcili Stankiewicz i Pospieszalski.

– Mój scenariusz był nie tylko o tym. Dla mnie było istotne pokazanie, jak taki dramat jednych ludzi kundli, a innych uskrzydla. To jest zupełnie inny przekaz niż dokumentalna relacja z Krakowskiego Przedmieścia.

– Zaraz, to w tym filmie nie będzie pokazana katastrofa?

– W jednej wersji jest opis ostatnich chwil samolotu, ale nie wiem, na jakie rozwiązanie zdecydują się ostatecznie twórcy filmu. Generalnie miała to być opowieść o obywatelskim śledztwie.

– Czyli akcja się toczy już po Smoleńsku?

– Śledztwo przeważnie jest prowadzone po zdarzeniu, chyba najlepiej wiecie to z praktyki. – Oficer znowu ni to zakaszał, ni to się zaśmiał, a Wolski kontynuował: – To miała być paradokumentalna próba rekonstrukcji zdarzeń po 10 kwietnia. Między innymi stąd moje średnie serce do tego pomysłu. Oczywiście starałem się z tego wywiązać jak najlepiej, ale ja bym to zrobił inaczej. Napisałbym scenariusz w stylu hollywoodzkim. Pod Spielberga i Lucasa.

– Nie przesadzacie? Kicz chcecie robić z tragedii narodowej?

– Film ma swoje prawa. Musi widza wciągnąć. Może bym pokazał „zielone ludziki” w krzakach z jakąś tajemniczą wyrzutnią. Do końca nie zastawiałem się nad tym, ale gdyby to ode mnie zależało, konwencja byłaby bliższa *Gladiatora*, tymczasem Antoniego, mistrza od *Czarnego czwartku*, ciągnęło w kierunku *Taśm prawdy* czy *Wszystkich ludzi przyzidenta*. Zapewne Antoni ma bardziej duszę dokumentalisty, a ja iluzjonisty, który lubi opowiadać ciekawe historyjki.

– Wy znowu swoje. Z tragedii narodowej chcecie zrobić ciekawą historyjkę? W tym przypadku ważniejsze jest przesłanie niż to, żeby ludzi zabawić.

– Juliusz Machulski zdecydowanie przeszarżował, mówiąc, że Smoleńsk to jest temat na komedię. Mierzą mnie takie nieodpowiedzialne wypowiedzi, robione tylko po to, by się przypodobać tzw. salonowi. Jednak uważam, że Smoleńsk

powinien mieć coś w sobie z filmu akcji w stylu *Air Force One* czy *Władzy absolutnej*. Jeśli chcemy, by świat dzięki temu filmowi dowiedział się czegoś o katastrofie smoleńskiej, to powinny być uszanowane reguły gatunku. Intryga, spiszek, zdrada, zbrodnia... To, czym się żywi kultura masowa. Są ludzie, którzy lubią wnikliwą analizę. Ale dla mnie materiału w *Zbrodni i karze* jest na trzy strony. Reszta po prostu nudzi.

– *Zbrodnia i kara*? Dostojewski? Klasyka!

– Ja jednak wolę czytać, jak o zbrodni i karze pisze sir Arthur Conan Doyle lub Chandler. Mam specyficzne podejście do literatury, bo lubię dzieła pierwszorzędnej literatury drugorzędnej. I dlatego na boczkach napisałem sobie powieść *7.27 do Smoleńska*, która poza tematem nie ma nic wspólnego z filmem.

– Czyli scenariusz o Smoleńsku miał być wybuchowy niekoniecznie na pokładzie, tylko ze względu na przebieg akcji?

– Ostatecznie nie wiem, jaki przybierze kształt, jeśli w ogóle przybierze. Nasza wiedza o tym, co zdarzyło się 10 kwietnia, jest zmienna i rozwojowa. W dodatku wydarzenia tego roku na Ukrainie spowodowały przewartościowanie dotychczasowych poglądów u bardzo wielu ludzi, którzy byli zaciętymi wrogami wersji zamachowej. Podstawowe założenie, że nie było zamachu, bo nie było motywu, na oczach milionów „lemingów” po prostu się rozsypało. Po tym, co towarzysz Putin wyczynia na Ukrainie, argument, że żaden zamach nie mógł się zdarzyć, przestał być niepodważalny.

– A film powstanie czy nie powstanie?

– O to proszę zapytać pani Odorowicz albo jakiejś wróżki. Kiedyś film o największej hekatombie przywódców naszego kraju w historii na pewno powstanie, tylko czy to będzie dokładnie ten scenariusz, ten reżyser – nie wiadomo.

– I wy dziwicie się, że państwo nie chce dotować antypaństwowej propagandy.

– Nie państwo, tylko parę osób, które są bardziej lub mniej odpowiedzialne za sytuację w kraju i przygotowania do wizyty w Smoleńsku. Nie dziwi więc, że boją się prawdy. Ale wszystko się zmienia. Główny winowajca dostał kopa do

Brukseli i wygląda na to, że narracja będzie inna, a niedługo zacznie się wmawiać, że zawsze była inna. Już pomnik ofiar Smoleńska chcą stawiać, a niedawno mowy o tym nie było.

– No dobrze, kręcicie z tym scenariuszem i w sumie to nie wiem, o czym ten film ma być. Nieważne. Powiedzcie mi wreszcie, dlaczego człowiek jak pan nie może zachowywać się jak większość pańskich kolegów o podobnych życiorysach i wspólnych doświadczeniach. Jak Jacek Fedorowicz, Jerzy Kryszak czy Marek Majewski albo pani Czubaszek. Oni nie sprawiają kłopotów, a wręcz przeciwnie...

– Jako dziecko przeczytałem coś, co mną wstrząsnęło i dało sporo do myślenia. Znać mit o Heraklesie? Zaoferowano mu do wyboru dwie drogi: jedną prostą, łatwą i przyjemną i drugą pełną poświęcenia, wyrzeczeń, cierpień, zmagania się z losem, ale zakończoną być może chwałą nieśmiertelną. Nie było to dla mnie gotową wskazówką, ale na pewno sugestią, że istnieje taka alternatywa. Zresztą nie przypuszczałem, że sam stanę kiedyś przed koniecznością takiego wyboru. W PRL-u wydawało mi się, że idąc na pewne kompromisy, paląc Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek, da się ja-koś egzystować.

– No i co?

– Udawało się, do czasu. Przełomowym momentem był czerwiec 1976 roku, kiedy dostałem partyjny nakaz udania się na wiec zwołany na Stadionie Dziesięciolecia, potępiający warchołów z Ursusa i Radomia. Z początku zamierzałem się wykręcić pod jakimś tam pozorem. Jak się potem okazało, wszyscy z naszej partyjnej komórki na Myśliwieckiej kombinowali podobnie. Jednak po rozmowie z dziewczyną, z którą wtedy sympatyzowałem, doszedłem do wniosku, że należy się zgłosić do naszego grupowego partyjnego i oświadczyć mu, że nie pójdę, bo ja się po prostu z tym nie zgadzam. Nie zgadzam się na poniżanie robotników tylko dlatego, że protestowali przeciwko podwyżkom. Nie zgadzam się na „ścieżki zdrowia”. Nie zgadzam się na kłamstwa i język propagandy. I to był mój Rubikon. Początkowo nie miało to szczególnych następstw, tym bardziej że już wcześniej zdjęto mnie

z kierownika redakcji, ponieważ nie byłem aż tak układowy, jak tego wymagali.

– Zdjęto was, mówicie, a za co?

– Odmówiłem wykończenia grupy osób z audycji „Ilustrowany Tygodnik Rozrywkowy”. Nie było mi z nimi całkiem po drodze, ale nie chciałem maczać palców w zdejmowaniu ich programu.

– To była jakaś próba wykończenia autorów programu satyrycznego? Pewni jesteście?

– Oczywiście. Początkowo w kierownictwie „Trójki” ta grupa cieszyła się ogromnym wzięciem i kredytem zaufania. Jej mózgiem był Jerzy Markuszewski, reżyser STS-u, który już wcześniej, chyba po Marcu, został wywalony ze stanowiska dyrektora Teatru Polskiego Radia.

– Markuszewski? A wiem już. Lepszy gagatek. Współpracował z KOR-em, internowany w stanie wojennym.

– On był reżyserem i trenerem selekcjonerem obsady audycji. Z naszej redakcji należeli do niej Adam Kreczmar i Jacek Janczarski, doproszono jeszcze Janka Tadeusza Stanisławskiego, doszła też ówczesna „przyjaciółka” Jacka Janczarskiego Maria Czubaszek. Z kręgu Hybryd wywodził się Stefan Friedmann, a z Egidy Jonasz Kofta. Na początku magazyn rozwijał się bez przeszkód. Poza tym była to inicjatywa wymyślona przez kierownictwo, na czele z Janem Mietkowskim i Ewą Ziegler.

– Z pomysłami szefostwa się nie dyskutuje.

– Audycja stała się bardzo popularna, może za bardzo. A tymczasem dekada Gierka przestała być taka cukierkowa, władza zaczęła zaostriąć kurs. W telewizji zaczęła się „szczepańszczyzna”, która w radiu miała ponurą twarz Wilhelmięgo.

– Tego aktora?

– Neeee, to był dziennikarz, Janusz Wilhelmi, inteligentny, ale zaprzędany partii aparaczyk. Zginął w katastrofie lotniczej w Bułgarii, w wielu redakcjach strzelały wtedy korki od szampana. Krzysiek Mętrak nawet napisał o tym wiersz, za co wyleciał z pracy.

– Widzicie, jak to trzeba z tymi wierszami uważać.

– Natomiast twórcom „ITR” wydawało się, że im wszystko wolno i są nie do ruszenia. W trzecim roku ich działalności zaczęły się zbierać ciemne chmury nad audycją. Usiłowano wykorzystać mnie do usunięcia ich z anteny. Byłem jednym z założycieli programu, nawet współautorem nazwy. „Tygodnik Rozrywkowy” jest moje, a „Ilustrowany” Kreczmara. A muszę tu powiedzieć, że moja pozycja w redakcji, jak by to powiedzieć... stawała się coraz bardziej niepewna. Równolegle studiowałem, działałem w Stodole i jakoś odstawałem od towarzystwa ITR-owców. W redakcji coraz mniej podobało się to, co robię. Mój styl, trochę może przemądrzały, troszkę za bardzo osadzony w historii, nie bardzo pasował do żywego radia, które chciała robić ta grupa. Sytuacja, kiedy nie byłem akceptowany przez kolegów, bardzo mi ciążyła, ale nie dawałem się, chociaż czułem, że mogę znaleźć się na aucie. Władza chyba to zauważyła. Kiedy Jacek Janczarski został odwołany z funkcji kierownika redakcji i zaproponowano to stanowisko mnie, obawiałem się, że odmowa może mieć dla mnie i dla redakcji fatalne skutki, więc zgodziłem się zostać pełniącym obowiązki.

– Co tu się wzruszać. Dają, trzeba brać.

– Przez pół roku byłem tym p.o. Kiedy jednak audycja została zawieszona i zwrócono się do mnie, abym stworzył własny magazyn w to miejsce, odmówiłem. Postawiłem warunek, że owszem, mogę robić własny program, chociaż nie miałem wtedy jeszcze dość autorów, ale podstawowym warunkiem jest istnienie „ITR-u”. I dyrekcja poszła na ten kompromis. Powstało moje „60 minut na godzinę”, ale przywrócono „ITR”, który potem został przemianowany na „IMA”, czyli „Ilustrowany Magazyn Autorów”. Przynajmniej przez rok audycje szły równolegle.

– Czyli stawialiście się.

– Może za słabo. Nie zdawałem sobie sprawy, że gra polega na tym, żebyśmy zyskali na tyle dużą popularność, by dało się „IMA” bezboleśnie zdjąć z anteny. Sytuacja stała się dramatyczna na początku 1976 roku. Zaproponowano mi,

ażebym zlikwidował konkurencję. Gdyby to miało przyjąć formę otwartą, czyli komunikuję im: „W związku ze zmianami programowymi audycja niestety nie znalazła się w ramówce”, to może bym to zrobił. Ale zaproponowano metodę stosowaną i wcześniej, i później, czyli nękanie mające skłonić zespół do rezygnacji. „Będzie pan odrzucał lepsze teksty, a puszczał gorsze, zaniżał wyceny, niech dostaną małego rozumu, niech się wściekną, może się skłóca i zrezygnują” – pouczano mnie. Wtedy powiedziałem, że tego nie zrobię. „To przestanie pan być kierownikiem redakcji”. „To przestanę”. I przestałem. I od tego czasu moja kariera raczej się zwijała, niż rozwijała. Nie zgodziłem się dokonać „mordu założycielskiego”, który by spowodował, z czego wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że byłbym zakładnikiem zleceniodawców. Na tym etapie już nie wystarczy być poputczykiem.

– Poputczykiem?

– To pojęcie jeszcze z czasów rewolucji bolszewickiej. Tak określano przeciwników rewolucji, którzy pod wpływem strachu lub dla korzyści przyłączyli się do czerwonych.

– Wy tak się znowu nie przyłączyliście. – Zajrzał do jakichś odręcznych notatek. – Najpierw przez pięć lat nieaktywny członek PZPR, potem „Solidarność”, struktury poziome, antypartyjna działalność w Radiokomitecie. Kiedy właściwie rzuciliście legitymację partyjną?

– Zaraz po 13 grudnia wrzuciłem ją do kosza na Foksal pod Stowarzyszeniem Dziennikarzy, kiedy szedłem na spotkanie wyrzuconych kolegów po fachu. Zresztą jeden mocno partyjny redaktor, niejaki Domarańczak, którego tam spotkałem, poinformował mnie, że jeszcze pierwszej nocy zebrała się egzekutywa Komitetu Zakładowego w dwuosobowym składzie i wyrzuciła z partii dwanaście czy ileś tam osób. Formalnie byłem jeszcze przez pół roku pracownikiem Radiokomiteu i w jednej szkole otoczonej przez ZOMO odbierałem pobory.

– W szkole?

– Do radia na Malczewskiego już nie mieliśmy wstępu, ale w pobliskim budynku szkolnym wypłacano nam pensje.

Byliśmy wpuszczani pojedynczo i księgowa wręczała nam gotówkę. Na Myśliwiecką zostałem wpuszczony dwa razy. Raz, abym mógł zabrać swoje rzeczy z biurka. Stał za mną żołnierz z automatem. Nawiasem mówiąc, nie zginęło nic oprócz biało-czerwonej opaski, którą na wypadek gotowości strajkowej trzymałem w szufladzie. Drugi raz to była rozmowa weryfikacyjna. Siedziała taka trójka do złudzenia przypominająca czasy stalinowskie i zadawali mi podchwytliwe pytania na temat stanu wojennego: czy akceptuję i takie tam brednie. Było też sondowanie, całkiem hipotetyczne, co bym chciał robić, gdybym pozostał w radiu. Odpowiedziałem, że jestem historykiem i chętnie bym robił audycje o Aztekach, Inkach, słuchowiska dokumentalne o dawnych dziełach. „Ojej – westchnęła wtedy członkini ekipy inkwizycyjnej, zresztą najgorsza żmija. – A tak będzie teraz potrzebna rozrywka”. I wtedy powiedziałem zdanie ostatecznie przesądzające o moim losie: „W tej sytuacji, w jakiej znalazł się kraj, ja sobie rozrywki w radiu nie wyobrażam”.

– I to był koniec?

– Prawie. Niedługo potem wezwał mnie redaktor Turski i z ogromnym żalem wręczył mi wymówienie. Zrobił to tak dobrze, że w zasadzie to ja mu współczułem niewdzięcznej roli kata. Na koniec zapewnił mnie, że jak się to tylko skończy, odezwą się do mnie, bo taki zdolny człowiek, z takim potencjałem...

– No i odezwali się?

– Jak najbardziej, jesienią 1989 roku!

– Czyli znowu dostaliście szansę, mogliście przyłączyć się do właściwej, okrągłostołowej strony. A wy...

– Miałem wtedy, można powiedzieć, kompleks wobec „ludzi podziemia”. To byli bohaterowie. Podziwiałem ich odwagę, bezkompromisowość, siłę charakteru podczas procesów kończących się niejednokrotnie wyrokami więzienia. Kim na ich tle byłem ja? Owszem, kąsałem reżim, ale za te pieniądze z opozycyjnych występów budowałem dom. Rzuciłem legitymację partyjną, ale jednak kiedyś ją przyjąłem. Więc czułem,

że nie mam prawa jak przysłowiowa żaba podsuwać nogi tam, gdzie konie kują. Dlatego nie zająłem się polityką. Zrobiłem sobie takie dziesięcioletnie moratorium.

– Prywatną dekomunizację?

– Może pan to tak nazwać.

– Wielka szkoda, że nie znał pan bliżej swoich idoli, którym chciał pan proch sprzed stóp zdmuchiwać. Pozbylibyście się, Wolski, kompleksów.

– Pozbyłem się, ale zabrało mi to wiele czasu. Człowiek nie miał tej wiedzy, co obecnie. Pamiętam jednak ten dzień, kiedy dokonałem pierwszego wyboru.

– Słucham.

– Proszę sobie wyobrazić korytarz w radiu i jednego z luminarzy opozycji, którego dotąd podziwiałem za niezłomność i zasługi, biegnącego nim z okrzykiem na ustach: „Dzisiaj wyrzucamy Lecha Wałęsę z Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie”. Dla mnie to był szok.

– Od razu szok. Normalna „mądrość etapu”. Elektryk zrobił swoje, elektryk może odejść.

– Człowiek mający odrobinę przyzwoitości, którą zaszczyił we mnie mój Ojciec, nie mógł na pewne rzeczy nie reagować. Ten „autorytet” dostał się do parlamentu dlatego, że sfotografował się z Wałęsą, i był mu winien, jeśli nie doogonną lojalność, to przynajmniej szacunek!

– Nie zna pan reguł gry politycznej?! Tam nie ma przyjaciół, poglądów, lojalności!

– Nie mam ochoty jej poznawać! A po 1989 roku nie czekałem na grę polityczną, tylko na prawdziwą Polskę. Chciałem być z nimi, ale z dnia na dzień traciłem zaufanie, w dodatku przekonywałem się, że ci ludzie nie dotrzymują obietnic, a Polska, która się właśnie wyłania, nie jest Polską moich marzeń, a nawet nie jest do niej zbliżona. Wałęsa wydawał mi się prawdziwszy, bardziej szczerzy. W dodatku obiecywał przyśpieszenie dekomunizacji, lustrację... O przepraszam, nie chciałem pana urazić!

– Weryfikację przeszedłem celująco, jakby co!

– W jaki sposób?

– Kuroń za mnie poręczył. Jeszcze podczas rozmów przynosiłem mu „herbatkę” w termosie. Jak on to mówił, pociągając: „Potęga smaku”!

– Właśnie, kiedy widziałem tę straszną arogancję moich niedawnych ideałów, odezwała się we mnie herbertowska potęga smaku. Jeszcze przed wyborami czerwcowymi poszedłem na politechnikę na spotkanie środowisk twórczych poświęcone wyłonieniu naszych kandydatów do sejmu kontraktowego. Na tym spotkaniu, mimo że przybyli na nie naukowcy, profesorowie, artyści, sama śmietanka, najbardziej reprezentatywne gremium – nie było ani jednego kandydata. Naiwnie spodziewałem się, że będzie atmosfera z czasów pierwszej „Solidarności”, że będziemy ich przepytywać, wybierać, debatować, głosować, a tu nic. Podano nam gotową listę: tu są nazwiska kandydatów i bez dyskusji. „A dlaczego ci?”. „A dlatego”. Taki był początek naszej demokracji. Tyle że wtedy była euforia i jakoś sobie to wytłumaczyłem, że pewnie są tak zajęci, że nie mogli nas zaszczyścić. Włączyłem się, jak tylko mogłem. Prowadziłem w Białej Podlaskiej na stadionie konwencję Jackowi Szymanderskiemu, a helikopter Józefa Oleksego zrzucał z góry ulotki przeciwko nam.

– Naprawdę? Chciało im się? Partia była pewna, że wygra. Czarzasty martwił się, że za wysoko...

– Ale przegrała! Wtedy przegrała – dodał Wolski, widząc ironię w oczach nowoubeka. – Bardzo się ekscytowałem przemianami. Kiedy było zaprzysiężenie rządu Mazowieckiego i Mazowiecki zasiał, akurat przekraczałem granicę Polski, więc zatrzymałem się i z bijącym sercem czekałem na ciąg dalszy, bo jeśli mu się coś stało, to może nie warto wracać, tylko wiać do Szwajcarii przez DDR.

– Przecież postawiliście na Wałęsę.

– Rok później. Wtedy jeszcze trwał mit jedności. Dopiero Piotr Wierzbicki otworzył mi oczy swoim artykułem *Familia, świta, dwór*.

– I porzuciliście Tadzia na rzecz „Bolka”?

– W dziewięćdziesiątym roku mój wybór Wałęsy był oczywisty. Przecież kiedy doszło do wyborów prezydenckich,

wiedziałem o Wałęsie tyle, co wszyscy. „Nasz kochany Lechu, wódz, symbol!”. W uszach dźwięczały mi słowa z pojedynku z Miodowiczem czy z wystąpienia w amerykańskim Kongresie: „My, naród”. Do tej poru czuję ciarki, gdy przypominam sobie tembr głosu czytającego tłumaczenie Jacka Kalabińskiego. Podczas kampanii prezydenckiej byłem za Wałęsą bezapelacyjnie i z całym przekonaniem.

– Nie martwcie się, wybieraliście i tak pomiędzy naszymi ludźmi.

– Nie miałem o tym pojęcia. W dodatku wtedy traktowaliśmy opozycję i jej przywódców z ogromną atencją. Tam były dziesiątki ludzi, z którymi mnie sporo łączyło.

– Ale w końcu się to popsulo. I mit przysnął?

– Do głowy mi nie przychodziło, że wśród przywódców opozycji, ludzi, których szanowałem i podziwiałem, mogą być agenci SB. Widziałem, że w PRL-u ich nie brakowało, ale mógł być to taksówkarz, portier, kelner, cinkciarz, babcia klozetowa. Żeby donosicielem był człowiek z towarzystwa, który ryzykuje, siedzi w więzieniu, jest internowany... to przepraszam bardzo! A już szczególnie Wałęsa, który przeskoczył płot, obalił komunę, nadwątlił „imperium zła”. Nie możliwe! W tamto dramatyczne popołudnie 4 czerwca przekonał mnie Kuroń, a w zasadzie jego autentyczne wkurzenie: „Jak można tym ludziom to robić? Niegodziwość! Obrzydliwość!”. Dałem wiarę, że to jest intryga Olszewskiego i Macierewicza, dążących do zachowania władzy za wszelką cenę.

– No i tego trzeba było się trzymać, wielu tak robi i dobrze na tym wychodzą. Byłby pan kapitalnym materiałem na „le-minga”.

– Przyznaję ze wstydem!

– A kiedy przejrzeście na oczy?

– Potem już bardzo szybko. Kiedy środowisko Wałęsy pozbyło się ostatnich przyzwoitych ludzi, choćby Andrzeja Drzycimskiego. (Nawiasem mówiąc, wiem od Andrzeja, że krytycznego 4 czerwca Lech gotów był przyznać się do haków w swoim życiorysie, była nawet gotowa depesza do PAP-u, ale Wachowski czuwał...). Kiedy Wałęsa rozwiązał

parlament i podpisał nową większościową ordynację, torując drogę lewicy, i lewica doszła do władzy, łuski spadły mi z oczu. Długo mi się wydawało, że Wałęsa wie więcej, że Wałęsa uosabia może ludową, ale mądrość. Niestety przece-
niałem go, patrzyłem na niego jak typowy inteligent na archetyp robotnika, którego opisali klasycy. Co więcej, było dla mnie odstręczające, że intelektualiści chcą się pozbyć człowieka, dzięki któremu wspięli się na szczyt.

– Ale w 1995 roku nadal głosowaliście na Wałęsę?

– Z rozpaczą. Zacisnąwszy zęby, pełen wstydu, bo przecież nie mogłem głosować na Kwaśniewskiego. Innego wyboru nie było. Przeciekom o agenturze człowiek nie dawał wiary, raczej myślał, że robią to mali ludzie, którym nic w życiu nie wyszło, dlatego atakują wielkiego człowieka. Potem uwierzyłem w AWS, w Jerzego Buzka, oczywiście ignorując insynuacje, że to TW „Karol”, żeby było jasne. Do powołania IPN i wielkiego wydarzenia, jakim było wyniesienie przez Bronka Wildsteina listy agentów, żyliśmy w niewiedzy i niepewności. Dopiero ta lista i takie prace jak dzieło Gontarczyka i Cenckiewicza o Wałęsie otworzyły ostatecznie oczy i pozwalały zrozumieć, jak w PRL-u działał system, jak deprawował ludzi – *casus* Maleszki. Zaczęliśmy sobie tych ludzi wyobrażać, nagle zrozumieliśmy, na czym polegała istota agentury.

– Jako historyk, znawca epok nie mieliście pojęcia o agentach?

– Mechanizm wyparcia! Przecież znaliśmy tych ludzi osobiście, niejednokrotnie przyjaźniliśmy się z nimi – mój kierownik ze Stodoły, koledzy z STS-u (Drawicz), zawodowi mistrzowie felietoniści (Passent i KTT), przyjaciele aktorzy (Maciek Damięcki czy Roch Siemianowski), uznani pisarze (Koźniewski, Kuśniewicz czy podziwiany za *Mszę za miasto Arras* Szczypiorski), szefowie z radia, jak Janusz Domagalik itp... W głowie się nie mieściło! *À propos*, byłem parę lat wcześniej na premierze filmu opartego na sztuce Szekspira, bodajże *Jak wam się podoba*, ze świetną rolą Emmy Thompson, w nieistniejącym już kinie Relaks i tam przedstawiono mi

panią Jasienicową, czcigodną Nenę. Przypadłem jej do rąk i zdawało mi się, że spłynął na mnie cały blask złotego, srebrnego wieku Polski Piastów i Polski Jagiellonów. Czyż mogłem przypuszczać, że to była agentka, która poślubiła Pawła Jasienicę w ramach obowiązków służbowych i w ubikacji pisała na niego meldunki? Mniej lub bardziej podświadomie bronięm się przed takim obrazem znieprawienia świata. Poza tym był jeszcze logiczny argument, że tamten system jednak się przewrócił. Gdyby tam byli sami agenci, to czy byłoby to możliwe?

– Gdzie się przewrócił? Nie przewrócił się. W najlepszym razie zmutował.

– Teraz już wiem, że był to wielki bal maskowy, a może nawet bal manekinów.

– A dlaczego postawiliście na Kaczyńskich, a nie na Tuska?

– Wahałem się. Będąc zwolennikiem POPiS-u, ekonomicznie miałem bardziej zaufanie do „premiera z Krakowa” Jana Marii Rokity i jego „szarpnięcia lejcami” niż do Jarosława Kaczyńskiego, ale jednocześnie w sferze idei było mi bliżej do Lecha Kaczyńskiego niż do Tuska. Bardzo ceniłem patriotyzm, który cechował Lecha, i jego inicjatywy jako prezydenta Warszawy. Kiedy latem 2005 roku Kazimierz Michał Ujazdowski zaproponował mi wejście do jego komitetu honorowego (a na czele sondaży królował wówczas Cimoszewicz – szakal z „Polskiego ZOO”), bez wahania się zgodziłem. Wprawdzie kiedy przyszły wybory parlamentarne, jeszcze się zastanawiałem, czy nie oddać głosu na PO, ale doszedłem do wniosku, że będzie to brak konsekwencji. Mimo zwycięstwa PiS-u jeszcze długo nie przekreślałem Platformy. Pierwsze posunięcia PO, jak poparcie rozwiązania WSI i ustawy lustracyjnej, wskazywały, że współpraca jest możliwa. W najczarniejszym scenariuszu nie wyobrażałem sobie tego, co się później zdarzy.

– A co się takiego zdarzyło? Wszystko idzie dobrze.

– Myślałem, że po wygranych wyborach w 2007 roku Tusk powie: „Co było złe za czasów PiS, oddzielamy grubą kreską”, i zacznie wreszcie budować Polskę moich marzeń. Wierzyłem,

że Platforma to jest ugrupowanie konserwatywne, które chce silnego państwa, niskich podatków i że są tam spece od gospodarki. Wcześniej, gdy sobie racjonalizowałem POPiS, wydało mi się, że model patriotyczno-konserwatywny PiS-u połączony z pragmatyzmem i liberalizmem PO to będzie coś najlepszego, co się w naszych tysiącletnich dziejach mogło przydarzyć. Taki Batory skrzyżowany z Kazimierzem Wielkim. Ale Tusk wszystko zmarnował, bo zamiast budować, wolał prowadzić wojnę przeciwko Kaczyńskim. Dla niego okazało się to korzystne, dla Polski druzgocące.

– Myślałem, że czegoś więcej się od was dowiem, że kieruje wami jakaś głęboka niechęć czy zjadłość, że wygłosicie jakiś manifest polityczny, a to tak wygląda... no, normalnie.

– Bardzo wiele wyborów życiowych wynika z konsekwencji. Człowiek, spoglądając na jakąś rzeczulkę w peruwiańskich Andach, nie wie, że to początek Amazonki. Jest strumyk, który sobie płynie. Ale to, co dzieje się później, to tylko konsekwencja. Mój pierwotny sprzeciw wobec tych, którzy najpierw się fotografowali z Wałęsą, a potem knuli przeciwko niemu, zaowocował wdepnięciem w obóz belwederski. Moje nadzieje związane na początku z POPiS-em, a później z PiS-em, spowodowały, że jestem dzisiaj uważany za jakiegoś czarnosecinnego PiS-owca, pomimo tego, że wiele działań PiS mi się wcale nie podoba. Nauczyłem się jednego: że polityka zawsze w pewnym stopniu bywa nie tyle wyborem mniejszego zła, ile wyborem większego dobra. Jest pewien zespół zasad, który wyniosłem z domu, a w życiu zawodowym konstytuującą rolę pod tym względem odegrał dla mnie kabaret Pod Egidą, czyli Pietrzak. Pietrzak pokazał początkującemu autorowi, że nie trzeba się zajmować duperelami i że należy mówić to, co się myśli. Oczywiście nie na wariata, ale jeśli już się pisze, to szczerze i o czymś. Ma się rozumieć, że nie było łatwo. Często trzeba było grać zależnie od tego, na ile przeciwnik pozwalał. Za komuny zdobywaliśmy teren, potem go traciliśmy, ale trwało w nas to coś, czego nie mieli satyrycy poprzedniej generacji. Wierzyliśmy, że te nasze żarciki, poza doraźnym zarabianiem pieniędzy i wywołaniem

śmiechu na sali, to są ważne myśli wpuszczane w krwiobieg społeczny. W krwiobiegu zablokowanym politycznie kabarety (Egida, Stodoła, Salon Niezależnych, później Sześćdziesiątka) stanowiły swoiste by-passy.

– Ten by-pass nazywany był także wentylem.

– Mieliśmy tego świadomość, ale jeżeli ten wentyl dostarcza topielcowi odrobinę powietrza i jest jedynym sposobem na oddychanie, to jak go nie wykorzystać. To, czego nauczyłem się u Pietrzaka, starałem się przenieść na grunt kabaretu studenckiego w Stodole. Jestem rzadkim tego typu przykładem, bo najpierw byłem w kabarecie zawodowym, a dopiero potem studenckim. Zresztą zderzałem się z moimi wykonawcami, którzy wcale nie chcieli niczego w tekstach przemycać. Przeforsowywałem pewne treści dzięki współpracy mima Marka Gołębiowskiego i reżysera Maćka Wojtyszki. Natomiast miałem całkowity blok ze strony takich osób jak Magda Umer, bratanica Humera, Krzysztof Knittel, syn partyjnego dygnitarza, czy Elżbieta Jodłowska, której marzeniem była lekka i miła sztuka estradowa, co się jej spełniło po latach w *Klimakterium*. Z Maćkiem Wojtyszką chcieliśmy robić kabaret o czymś. I to był konkretny wybór. Naszym najważniejszym spektaklem był *Telefon zaufania* opisujący wydarzenia grudniowe w konwencji bajki. Właśnie Maciek nauczył mnie korzystania z bajki czy z science fiction do opowiadania polityki. Podsunął mi lektury Lema, Strugackich i pokazał, jak można kpić z totalitaryzmu w totalitaryzmie. Obu nas urzekł Bułhakow. Tamte doświadczenia zdecydowały, że już nigdy nie dałem się skusić na rozrywkę zupełnie pustą i bezproblemową.

– Czyli Pietrzak was, no... jakby sprowadził na złą drogę, a potem już polecało.

– Gdybym w tamtych czasach przypadkiem napisał wielki przebój i gwiazdy by się do mnie garnęły, żeby mi pisały teksty, to może moja droga twórcza potoczyłaby się inaczej.

– Kofta tak zrobił i na tym dobrze wyszedł.

– W zasadzie zdecydował za niego jego ojciec, „człowiek organów”. Chodziło o rozbitcie kabaretu Pod Egidą. Pietrzak,

Kofta i Kreczmar razem byli zbyt mocni. Władza ich podzieliła z premedytacją. Powstały trzy zespoły (ten trzeci na czele ze Stanisławskim). Gigantyczną wolą przetrwania obdarzony był Pietrzak, który stał się jedynym spadkobiercą Egidy. Rola Pietrzaka w ukształtowaniu mnie jako człowieka i jako artysty była ogromna. Ba, nawet nieświadomie przyczynił się do mojego przystąpienia do partii. Parę razy byłem zmuszony do pójścia na spotkanie partyjne i tam widziałem, jak towarzysz Pietrzak skakał do gardła partyjnym dygnitarzom. I to mnie przekonało, że w ramach partii można poprawić Polskę. A w czasach realnego socjalizmu, nim alternatywę pokazali Papież i „Solidarność”, wydawało się, że nie ma innej drogi niż „raczkujący rewizjonizm”. Bardzo mi się podobało, jak Pietrzak walczył o sprawy społeczne, o kondycję Polski. Zresztą to się nie zmieniło, bo on cały czas walczy.

– Jak walczy? Niepokój sieje. Powiedzcie mi, jak to się dzieje, że człowiek chce tej władzy bezustannie dowalać? Przecież władza niejednokrotnie szła wam na rękę.

– Ostatni raz władza szła mi na rękę w komunizmie. W systemie, który sobie wywalczyliśmy, w systemie niesprawiedliwości społecznej, który wysiłkiem całego narodu udało nam się zbudować, nie pamiętam dobrodziejstw władzy... O przepaszam, dostałem od ministra Zdrojewskiego Gloria Artis.

– A nie byliście dyrektorem „Jedynki” w Polskim Radiu?

– Chwileczkę, dyrektorem w radiu byłem z nominacji Krzysztofa Czabańskiego, czyli za IV, a nie III RP. Jeśli zaś chodzi o poprzedni system, rzeczywiście, aż do 13 grudnia można powiedzieć, że byłem bardziej pieszczochem systemu niż jego wyrzutkiem. Komuna charakteryzowała się tym, że przede wszystkim starała się ludzi kupić, względnie przekabacić. Niszczenie lub wykluczanie było ostatnim środkiem, jaki podejmowała. Jeżeli człowiek był zdolny, to władza, która w odróżnieniu od współczesnej była dosyć inteligentna, zwłaszcza na tych najwyższych szczeblach, przede wszystkim starała się takiego człowieka przeciągnąć na swoją stronę, zneutralizować, wykorzystać i sprawić, żeby jak najmniej szkodził.

– Widzę, że macie bardzo dobre zdanie o komunie, jak to nazywacie.

– Bo rzeczywiście jest duża różnica pomiędzy włodarzami mediów kiedyś a dzisiaj. Wówczas dopiero stan wojenny mógł zlikwidować „Sześćdziesiątkę”. Co prawda fakt, że tak długo utrzymywaliśmy się razem z kolegami na antenie, wynikał także z tego, że nie było nic w zamian. Nie było pod ręką żadnego towaru rozrywkopodobnego, którym dałoby się oszukać społeczeństwo. Komunistom w tym schyłkowym okresie nie przychodziło do głowy, żeby coś zamknąć na chłama i nic nie dać w zamian.

– A „ITR” jakoś zdjęli.

– Bo mieli jeszcze nas i nie zostawało wrażenie pustki. Ale przy „Sześćdziesiątce” też kombinowano. Kuszono Elitę, Krzyśka Jaroszyńskiego, Maćka Zembatego, żeby zajęli nasze miejsce. Nie było jednak takiej mocy, żeby zastąpić „Sześćdziesiątkę”. Poza tym nie ułatwiałem im zadania. Nie byłem wariatem i w swojej działalności satyrycznej przyjmowałem zasadę, że należy przekraczać to, co jest dozwolone, o dziesięć centymetrów, a nie o kilometr.

– Czyli działaliście kunktatorsko?

– Działalem tak, żeby dotrzeć do naszych słuchaczy i mówić im prawdę. To był cel nadrzędny. Sytuacja, w której musielibyśmy teksty wygłaszać w bramie lub wieszać na płocie, była mało pociągająca. To był zresztą także powód, poza tekstami przedrukowanymi bez mojej zgody, że nie włączyłem się w okresie podziemia do bardziej aktywnej działalności...

– Wiemy, wiemy...

– Dopóki miałem swój objazdowy kabaret, przeganiany wprawdzie zewsząd jak bura suka i co jakiś czas zakazywany, ale dopóki mogłem w nim jednak działać, stawiałem na legalizm. Nie był to legalizm dla legalizmu, taki, jakim chętnie wymachuje Korwin-Mikke, tylko po prostu rozeznanie sił i środków i oszacowanie, co jest skuteczniejsze w docieraniu do odbiorcy. Nie kryję, byłem „softopozycją”. Zawsze się starałem mieć dobre kontakty z ludźmi o bardzo różnych poglądach, choć ewidentnym łajdakom ręki nie podam. Swoje